KSIĘGA CZWARTA.

DYPLOMATYKA I ŁOWY.

Zjawisko w papilotach budzi Tadeusza. — Zapóźne postrzeżenie omyłki. — Karczma. — Emisarjusz. — Zręczne użycie tabakiery zwraca dyskusje na właściwą drogę. — Matecznik. — Niedźwiedź. — Niebezpieczeństwo Tadeusza i Hrabiego. — Trzy strzały. — Spór Sagalasówki z Sanguszkówką rozstrzygniony na stronę jednorurki Horeszkowskiej. — Bigos. — Wojskiego powieść o pojedynku Dowejki z Domejką, przerwana szczuciem kota. — Koniec powieści o Dowejce i Domejce.

Rówienniki litewskich wielkich kniaziów, drzewa  
Białowieży, Świtezi, Ponar, Kuszelewa!   
Których cień spadał niegdyś na koronne głowy  
Groźnego Witenesa, wielkiego Mindowy,   
Giedymina, kiedy na Ponarskiej górze,

Przy ognisku myśliwskiem, na niedźwiedziej skórze  
Leżał, słuchając pieśni mądrego Lizdejki,   
A Wilii widokiem i szumem Wilejki  
Ukołysany, marzył o wilku żelaznym,  
I zbudzony, za bogów rozkazem wyraźnym  
Zbudował miasto Wilno, które w lasach siedzi,  
Jak wilk pośrodku żubrów, dzików i niedźwiedzi!  
Z tego to miasta Wilna, jak z rzymskiej wilczycy,   
Wyszedł Kiejstut i Olgierd i Olgierdowicy,   
 Równie myśliwi wielcy jak sławni rycerze,  
Czyli wroga ścigali, czyli dzikie zwierzę.  
Sen myśliwski nam odkrył tajnie przyszłych czasów:  
Że Litwie trzeba zawsze żelaza i lasów.  
Knieje! do was ostatni przyjeżdżał na łowy  
Ostatni król, co nosił kołpak Witoldowy,   
Ostatni z Jagiellonów wojownik szczęśliwy,  
I ostatni na Litwie monarcha myśliwy.  
Drzewa moje ojczyste! jeśli Niebo zdarzy,  
Bym wrócił was oglądać, przyjaciele starzy,  
Czyli was znajdę jeszcze? czy dotąd żyjecie  
Wy, koło których niegdyś pełzałem jak dziecię?...  
Czy żyje wielki Baublis, w którego ogromie  
Wiekami wydrążonym, jakby w dobrym domie,  
Dwunastu ludzi mogło wieczerzać za stołem?

Czy kwitnie gaj Mendoga pod farnym kościołem?   
I tam na Ukrainie, czy się dotąd wznosi  
Przed Hołowińskich domem nad brzegami Rosi  
Lipa tak rozrośniona, że pod jej cieniami  
Sto młodzieńców, sto panien, szło w taniec parami?  
  
Pomniki nasze! ileż co rok was pożera  
Kupiecka, lub rządowa, moskiewska siekiera!  
Nie zostawia przytułku ni leśnym śpiewakom,  
Ni wieszczom, którym cień wasz tak miły, jak ptakom.  
Wszak lipa Czarnolaska, na głos Jana czuła,   
Tyle rymów natchnęła! wszak ów dąb gaduła  
Kozackiemu wieszczowi tyle cudów śpiewa!   
  
 Ja ileż wam winienem, o domowe drzewa!  
Błahy strzelec, uchodząc szyderstw towarzyszy  
Za chybioną zwierzynę, ileż w waszej ciszy  
Upolowałem dumań, gdy w dzikim ostępie,  
Zapomniawszy o łowach, usiadłem na kępie,  
A koło mnie srebrzył się tu mech siwobrody,  
Zlany granatem czarnej zgniecionej jagody,  
A tam się czerwieniły wrzosiste pagórki,  
Strojne w brusznice, jakby w koralów paciorki.  
Wokoło była ciemność; gałęzie u góry

Wisiały, jak zielone gęste niskie chmury;  
Wicher kędyś nad sklepem szalał nieruchomym,  
Jękiem, szumami, wyciem, łoskotami, gromem:  
 Dziwny, odurzający hałas! Mnie się zdało,  
Że tam nad głową morze wiszące szalało.  
  
 Na dole, jak ruiny miast: tu wywrot dębu  
Wysterkaz ziemi nakształt ogromnego zrębu;  
Na nim oparte, jak ścian i kolumn obłamy,  
 Tam gałęziste kłody, tu wpół zgniłe tramy,   
Ogrodzone parkanem traw. W środek tarasu  
Zajrzeć straszno: tam siedzą gospodarze lasu,  
Dziki, niedźwiedzie, wilki; u wrót leżą kości  
Napół zgryzione jakichś nieostrożnych gości.  
Czasem wymkną się w górę przez trawy zielenie,  
Jakby dwa wodotryski, dwa rogi jelenie,  
I mignie między drzewa zwierz żółtawym pasem,  
Jak promień, kiedy wpadłszy gaśnie między lasem.  
  
 I znowu cichość w dole. Dzięcioł na jedlinie  
 Stuka z lekka i dalej odlatuje, ginie,  
Schował się, ale dziobem nie przestaje pukać,  
Jak dziecko gdy schowane woła, by go szukać.  
Bliżej siedzi wiewiórka, orzech w łapkach trzyma,  
Gryzie go; zawiesiła kitkę nad oczyma,  
Jak pióro nad szyszakiem u kirasyjera.  
Chociaż tak osłoniona, dokoła spoziera;  
Dostrzegłszy gościa, skacze gajów tanecznica  
Z drzew na drzewa, miga się jako błyskawica;  
Na koniec w niewidzialny otwór pnia przepada,

Jak wracająca w drzewo rodzime dryjada.   
Znowu cicho.  
  
 Wtem gałąź wstrzęsła się trącona,  
I pomiędzy jarzębin rozsunione grona,  
Kraśniejsze od jarzębin zajaśniały lica:  
To jagód, lub orzechów zbieraczka, dziewica.  
W krobeczce z prostej kory, podaje zebrane  
Brusznice świeże, jako jej usta rumiane;  
Obok młodzieniec idzie, leszczynę nagina,  
Chwyta wlot migające orzechy dziewczyna.  
  
 Wtem usłyszeli odgłos rogów i psów granie:   
Zgadują, że się ku nim zbliża polowanie,  
I pomiędzy gałęzi gęstwę, pełni trwogi,  
Zniknęli nagle z oczu, jako leśne bogi.   
  
 W Soplicowie ruch wielki. Lecz ni psów hałasy,  
Ani rżące rumaki, skrzypiące kolasy,   
Ni odgłos trąb, dających hasło polowania,  
Nie mogły Tadeusza wyciągnąć z posłania;  
Ubrany padłszy w łóżko, spał jak bobak w norze.  
Nikt z młodzieży nie myślił szukać go po dworze,  
Każdy sobą zajęty, śpieszył, gdzie kazano;  
 O towarzyszu sennym całkiem zapomniano.  
  
 On chrapał. Słońce w otwór, co śród okienicy  
Wyrznięty był w kształt serca, wpadło do ciemnicy

Słupem ognistym prosto sennemu na czoło.  
On jeszcze chciał zadrzemać i kręcił się wkoło,  
Chroniąc się blasku, nagle usłyszał stuknienie,  
Przebudził się. Wesołe było przebudzenie.  
Czuł się rzeźwym jak ptaszek, z lekkością oddychał,  
Czuł się szczęśliwym, sam się do siebie uśmiéchał:  
Myśląc o wszystkiem, co mu wczoraj się zdarzyło,  
 Rumienił się i wzdychał i serce mu biło.  
Spojrzał w okno: o dziwy! W promieni przezroczu,  
W owem sercu błyszczało dwoje jasnych oczu,  
Szeroko otworzonych, jak zwykle wejrzenie  
Kiedy z jasności dziennej przedziera się w cienie.  
Ujrzał i małą rączkę, niby wachlarz zboku  
Nadstawioną ku słońcu dla ochrony wzroku;  
Palce drobne, zwrócone na światło różowe,  
Czerwieniły się nawskróś jakby rubinowe.  
Usta widział ciekawe, roztulone nieco,  
I ząbki, co jak perły śród koralów świecą,  
I lica, choć od słońca zasłaniane dłonią  
Różową, same całe jak róże się płonią.  
  
Tadeusz spał pod oknem; sam ukryty w cieniu,  
Leżąc na wznak, cudnemu dziwił się zjawieniu,  
I miał je tuż nad sobą, ledwie nie na twarzy,  
Nie wiedział, czy to jawa, czyli mu się marzy  
Jedna z tych miłych jasnych twarzyczek dziecinnych,  
Które pomnim widziane we śnie lat niewinnych.  
Twarzyczka schyliła się: ujrzał, drżąc z bojaźni  
I radości, niestety! ujrzał najwyraźniej,  
Przypomniał, poznał włos ów krótki, jasnozłoty,  
W drobne, jako śnieg białe, zwity papiloty,  
Niby srebrzyste strączki, co od słońca blasku  
Świecił się, jak korona na Świętych obrazku.

Zerwał się, i widzenie zaraz uleciało  
Przestraszone łoskotem; czekał, nie wracało!  
Tylko usłyszał znowu trzykrotne stukanie  
I słowa: „Niech Pan wstaje, czas na polowanie,  
Pan zaspał“. Skoczył z łóżka i obu rękami  
Pchnął okienicę, że aż trzasła zawiasami,  
I rozwarłszy się w obie uderzyła ściany;  
Wyskoczył, patrzył wkoło, zdumiony, zmieszany,  
Nic nie widział, nie dostrzegł niczyjego śladu.  
Niedaleko od okna był parkan od sadu,  
 Na nim chmielowe liście i kwieciste wieńce  
Chwiały się; czy je lekkie potrąciły ręce?  
Czy wiatr ruszył? Tadeusz długo patrzył na nie,  
Nie śmiał iść w ogród; tylko wsparł się na parkanie,  
Oczy podniósł, i z palcem do ust przyciśnionym  
Kazał sam sobie milczeć, by słowem kwapioném  
Nie rozerwał myślenia; potem w czoło stukał,  
Niby do wspomnień dawnych, uśpionych w niem pukał,  
Na koniec, gryząc palce, do krwi się zadrasnął,  
I na cały głos: „dobrze, dobrze mi tak!“ wrzasnął.